

Kochać, jak to łatwo powiedzieć

AUTOR: PIOTR SOBIERSKI

Thrill me. Historia Leopolda i Loeba, w skromnej, ale soczystej realizacji Kubicza, to musicalowy debiut ostatnich lat.

■ Zbrodnia niezwykle rzadko trafia na scenę teatru musicalowego. O ile szemrany świat gangsterów i lekko zarysowana przemoc przewijają się w najgłośniejszych produkcjach, o tyle trudno szukać tytułów, w których morderstwo stanowi kanwę libretta. Za jeden z wyjątków można uznać *Chicago*, ale i tam trup jest tylko punktem wyjścia do więziennej rozgrywki, gdzie walka o sławę okupiona zostaje złamanym sercem najbliższych.

Fred Ebb i Bob Fosse oparli libretto jednego z najlepszych musicali w historii na sztuce teatralnej z międzywojnia, która z kolei powstała na kanwie medialnych doniesień o zabójstwach dokonanych przez dwie kobiety na swoich partnerach. Zdarzenia miały miejsce w Chicago, mieście, które podobnie jak każda metropolia tamtych czasów było siedliskiem zła i rozpusty, w naturalny sposób stanowiąc tym samym obiekt zainteresowania artystów. Również tych musicalowych, czego doskonałym przykładem jest kameralny spektakl Stephena Dolginoffa sprzed niemal dwóch dekad, traktujący podobny temat bez taryfy ulgowej, z całym anturażem godnym morderstwa (prawie) doskonałego.

Dolginoff, autor kompozycji, libretta i tekstów piosenek do musicalu *Thrill me. Historia Leopolda i Loeba*, a w broadwayowskiej realizacji również odtwórca jednej z ról, sięgnął po autentyczne wydarzenie. Podobnie jak w dziele Ebba i Fosse'a, cofamy się do początków ubiegłego wieku, ponownie do Chicago. To tam w 1924 roku dwóch studentów dokonało zbrodni, która miała udowodnić całemu światu, zgodnie z nadinterpretacją filozofii Friedricha Nietzschego, ich niezaprzeczalną wyjątkowość.

Morderstwo odbiło się szerokim echem wśród amerykańskiej opinii publicznej. Nazywane było zbrodnią stulecia, co tylko ułatwiło wchłonięcie tematu przez kulturę. I faktycznie chicagowskie zdarzenie inspirowało największych, szczególnie filmowców, m.in. Alfred Hitchcock zrealizował na tej podstawie *Sznur* w 1948 roku, a Michael Haneke w 1997 pełen brutalnego realizmu film *Funny Games*.

Dolginoff mógł zająć się tą zbrodnią tylko i wyłącznie na Off-Broadwayu. Trudno wyobrazić sobie, aby temat trafił do głównego nurtu, ale jak się okazało – i off zagwarantował mu sukces. Tytuł od premiery w 2005 roku (dwa lata wcześniej sztuka pokazana została na nowojorskim festiwalu teatralnym) szturmem podbija światowe sceny, w niektórych krajach budząc wręcz spektakularne zainteresowanie.

Polska wersja musicalu zrealizowana przez Tadeusza Kubicza to wynik przede wszystkim pandemicznego lockdownu. Artysta szukając bodźców, chcąc rozwijać się i eksplorować nowe obszary, trafił na kameralną sztukę, która idealnie wpisała się w niskobudżetowy model przedstawienia – dwuosobowa obsada i jeden muzyk, a więc pożądana dzisiaj mobilność umożliwiająca eksploatację dzieła na różnych scenach. Do tego, jak zaznaczają twórcy, wręcz ekspresowy czas produkcji, który nie zaważył jednak na jakości żadnego z jej elementów.

Duża w tym zasługa samego Kubicza, dotychczas przede wszystkim filmowca, który na deskach Mazowieckiego Teatru Muzycznego w swoim musicalowym debiucie wykazał się konsekwencją i dyscypliną operowania teatralnymi środkami. Ciekawa scenografia,

w dużej mierze opierająca się na ekranach (wykorzystanych na potrzeby znakomitych animacji Karoliny Jacewicz), pozwoliła wykreować duszną, wręcz charakterystyczną dla kina *noir* atmosferę. Do tego suspens, który w najmniej oczekiwanym momencie wybija ze zdawałoby się powolnego procesu osvajania przedstawianej rzeczywistości.

Kubicz wykorzystał wszystkie atuty libretta w tłumaczeniu Małgorzaty Lipskiej, momentami wprowadzając zresztą, jak sam zaznacza, kilka znaczących zmian. Historia rozgrywa się na dwóch płaszczyznach – z jednej strony w retrospekcjach odtwarzane są przygotowania do zbrodni, z drugiej tworzony jest portret dwóch młodych mężczyzn, psychologiczne studium szaleństwa.

W pierwszych minutach z nagrania słychać głos policjanta (Miroslaw Zbrojewicz), który podczas przesłuchania zaznacza: „Fakty już znamy [...]. Pytanie brzmi, czy znamy prawdę i czy wiemy wszystko”. I pomimo interesującego szkicu tych szokujących zdarzeń to właśnie na dojściu do prawdy skupia się sztuka. Próbie rozwikłania psychologii postaci, poznania mechanizmów, które pchnęły do morderstwa dwóch młodych, wykształconych mężczyzn – Nathana i Richarda.

Dobrzy znajomi, wychowujący się na jednej ulicy, stanowią swoje przeciwieństwo, a mimo to są od siebie całkowicie uzależnieni. Nathan zdaje się racjonalistą, pochłonięty nauką i czekającą go karierą prawniczą. Richard jest bezduszny, prostolinijny, wyrachowany, zapatrzonego w siebie oraz Nietzschego. Opacznie odczytane teorie, przede wszystkim koncepcja nadczłowieka, zdają się kształtować jego dorosłe życie.



Thrill me. Historia Leopolda i Loeba, reż. Tadeusz Kubicz, Mazowiecki Teatr Muzyczny im. Jana Kiepury w Warszawie (2020)

fot. Marek Popowski / Mazowiecki Teatr Muzyczny im. Jana Kiepury w Warszawie

Relacja tych dwóch jest równie fascynująca, co irytująca. Richard pomiata przyjacielem, bezwzględnie go wykorzystując, a Nathan godzi się na ten stan rzeczy, zaślepiony uczuciem na tyle mocnym, że obojętność i lekceważenie kompana nie stanowią dla niego przeszkody. „Ten jest zimny jak gład”, ale przez to zdaje się intrygować i jeszcze mocniej przyciągać swoją tajemniczą osobowością.

Kontakt z Nathanem zaspokaja próżność Richarda. „Tęskniłem za twoim uwielbieniem” – mówi z nieskrywaną radością. Bliskość chłopaka służy mu jednak przede wszystkim do realizacji wielkiego planu. Korzysta z niego niczym z podpory, jakby stanowił wentyl bezpieczeństwa na wypadek niepowodzenia.

Ta różnorodność charakterów znajduje odbicie w obsadzie. Marcin Januszkiewicz jako Richard i Maciej Pawlak wcielający się w Nathana stanowią duet idealny. Ich różne fizjonomie oraz sceniczne energie idealnie ze sobą współgrają. Delikatność, elegancja i spokój Pawlaka stanowią przeciwieństwo pewnego, wręcz scenicznie beczelnego Januszkiewicza. Jego Richard manipuluje nie tylko Nathanem, ale i widzom. Znakomity aktor, który nawet piosenkę o planowanym morderstwie śpiewa tak, że trudno nie przyznać mu racji.

Nie dziwi więc, że szybko z drobnych przestępstw obaj przechodzą poziom wyżej. Chociaż już te drobne wykroczenia, a nawet podpalenie, wywołują przerażenie Nathana, który nie chce robić żadnej z tych rzeczy, nie chce łamać prawa, ale poddaje się manipula-

cji. W końcu „nadczołowieka nie przechytrzy nikt”, serca też nie da się oszukać. Świadomy, momentami próbuje się buntować, wyciąga najmocniejsze argumenty. „Masz przed sobą żywego człowieka” – mówi do Richarda, ale i to pozostaje bez odpowiedzi. Chociaż pomiędzy kolejnymi wykroczeniami między mężczyznami rodzi się silne uczucie, które na zmianę odpycha i przyciąga ich ku sobie. Oczywiście przede wszystkim na warunkach Richarda.

Znaczące przełamanie następuje dopiero po akcie morderstwa. Pozostawione na miejscu zbrodni ślady zdejmują z nich pierwiastek nadludzki. Perspektywa więzienia lub kary śmierci odsuwa Nietzschego na drugi plan. Pragmatyzm bierze górę. Co więcej, niespodziewanie ofiara staje się katem. Odwet zranionego, zakochanego i oszołomionego Nathana, mimo że aktorsko pozostawia niedosyt, dramaturgicznie nie budzi zastrzeżeń. Zamiast filozofii zaczyna rządzić nimi psychologia.

„Strach nie daje spać, boję się śmierci i boję się przyznać, że mogę się bać”. Richard z nadczołowieka ponownie staje się młodym mężczyzną, który w obliczu dokonanej zbrodni traci impet oraz przekonanie o wyjątkowości. Widać to równie dobrze u Nathana. Po latach odsiadki, pomimo całego zła i doświadczeń przeszłości, nie może odciąć pępownicy. Zresztą tak też tłumaczy dawną zbrodnię: „To nie był żart, to nie była próba sił, z miłości gotów byłem zadać każdy cios”.

Sztuka Dolginoffa nie jest dziełem nowatorskim. Jego siła tkwi jednak w emocjach, momentami w skrajnie zróżnicowanych barwach oraz w historii, która nie pozostawia widza obojętnym, intryguje, pochłania od pierwszej minuty. Libretto to jedna strona medalu. Nie mniej istotna jest kompozycja muzyczna napisana wyłącznie na fortepian. Z pozoru niemusicalowa, doskonale budująca nastrój, w odpowiednich momentach pulsująca, w innych melancholijna, usypiająca czujność. Zasiadająca przy instrumencie Karina Komen-dera jest niemym, ale dzięki ekspresji swojej gry istotnym towarzyszem działań głównych bohaterów. Wspaniale współgra z Januszkiewiczem i Pawlakiem, uwydatniając muzycznie ich doskonale przygotowanie wokalne.

Thrill me. Historia Leopolda i Loeba, w skromnej, ale soczystej realizacji Kubicza, to musicalowy debiut ostatnich lat. Obok *next to normal* Jacka Mikołajczyka z warszawskiej Syreny, jeden z ciekawszych, zaangażowanych spektakli muzycznych. Fascynujący portret zła oraz miłości, w imię której człowiek jest w stanie posunąć się do prawdziwie ekstremalnych zachowań. ■

Mazowiecki Teatr Muzyczny im. Jana Kiepury w Warszawie
Thrill me. Historia Leopolda i Loeba
 Stephen Dolginoffa
 reżyseria Tadeusz Kubicz
 premiera 16 października 2020